

Rozmowa o poezji



Julia Hartwig, Warszawa 2006 r. fot. Włodzimierz Wasyluk.

14 lipca 2017 roku, będąc u swojej córki Danieli w Gouldsboro w Pensylwanii, zmarła poetka, eseistka i tłumaczka, Julia Hartwig. Od 1954 roku była żoną poety i tłumacza Artura Międzyrzeckiego, zmarłego w 1996 roku. Obydwoje byli parą wybitnych twórców, którzy wnieśli duży wkład w rozwój współczesnej polskiej literatury.

Przypominamy rozmowę Floriana Śmieji, poety emigracyjnego, współtwórcy słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”, z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckim, która miała miejsce w Warszawie, w przeddzień wyborów 1989 roku. Zmiana sytuacji społeczno-politycznej w Polsce pociągnęła za sobą zmiany sytuacji poetów i poezji. Historyczna już rozmowa może być więc przyczynkiem do analizy nurtów literackich w powojennej literaturze, jest przekrojowa i obrazuje

kondycję współczesnej poezji oraz jej różnorodnych uwarunkowań.

W 1989 roku zostało założone Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, które kontynuowało ideę Związku Zawodowego Literatów Polskich, powstałego z inicjatywy Stefana Żeromskiego. Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki byli współtwórcami Stowarzyszenia i bardzo zaangażowali się w jego działalność. W rozmowie pojawia się także aktualna wówczas sprawa powstania tej organizacji, gdyż dawała ona nadzieję na pełne poparcie dla polskich poetów i ich indywidualnej twórczości, zarówno w kraju, jak i za granicą. Bo literatura polska jest przecież jedna.

Redakcja

Wywiad wszedł w skład książki Floriana Śmieji p.t. „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, fot. Cz. Czapliński.

Naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny

(Artur Międzyrzecki).

Florian Śmieja: Będziemy mówili o poezji powojennej widzianej z perspektywy Kraju. Ja byłem na Emigracji w czasie, kiedy w Polsce nastąpiły zmiany polityczne, a w konsekwencji również kulturalne, a więc i literackie. Niech mi Państwo opowiedzą, jak wyglądały pierwsze lata po wojnie w poezji polskiej?

Artur Międzyrzecki: Pierwsze lata powojenne to była właściwie współobecność trzech pokoleń poetyckich. Działali jeszcze Skamandryci. Na Zachodzie obecni byli wtedy Lechoń, Wierzyński, Wittlin i Baliński. W Kraju - był Iwaszkiewicz, a po powrocie również Tuwim i Słonimski. Pokolenie Skamandrytów było więc jeszcze w komplecie. Z poetów pierwszej i drugiej Awangardy działali w Polsce Przyboś i Miłosz, który dopiero na początku lat pięćdziesiątych wybrał, jak to wtedy mówiono, wolność. Niewątpliwie pisali przywódcy tych dwu szkół. Zarówno więc na Zachodzie, jak i w Polsce przedstawiciele tych trzech formacji byli współobecni.

Nastąpił wtedy debiut tzw. pokolenia wojennego, takich poetów jak Tadeusz Różewicz czy Tadeusz Borowski, który później okazał się równie świetnym prozaikiem. Okres Stalina spowodował późniejsze objawienie się Zbigniewa Herberta, który wprawdzie jest nieco młodszy, ale także należy właściwie do wojennego pokolenia kombatantów. Nieporozumieniem jest wpisywanie go do tzw. pokolenia Współczesności. Tymoteusz Karpowicz, który działał we Wrocławiu, reprezentował tzw. poezję lingwistyczną. Obecne były poetki: Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Anna Kamieńska. Koło roku 1956 mieliśmy debiut Jarosława M. Rymkiewicza współtworzącego tzw. nurt neoklasyczny. Debiutował Stanisław Grochowiak, również przypisany do pokolenia Współczesności. Nie podaję kompletnych list, tylko nazwiska poetów wystarczająco wyrazistych, żeby określić co się działo.

Następnie jest Nowa Fala, a przede wszystkim dwaj poeci: Stanisław Barańczak i Ryszard Krynicki, przyjaciele z Poznania, zajmujący niewątpliwie pierwszoplanowe pozycje. Wymieńmy jeszcze Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera. Wcześniej, koło roku 1954-55, Słonimski stał się niejako wyrazicielem opozycji obywatelskiej. Alianse układały się inaczej, nie wynikały z pokoleniowych przynależności.

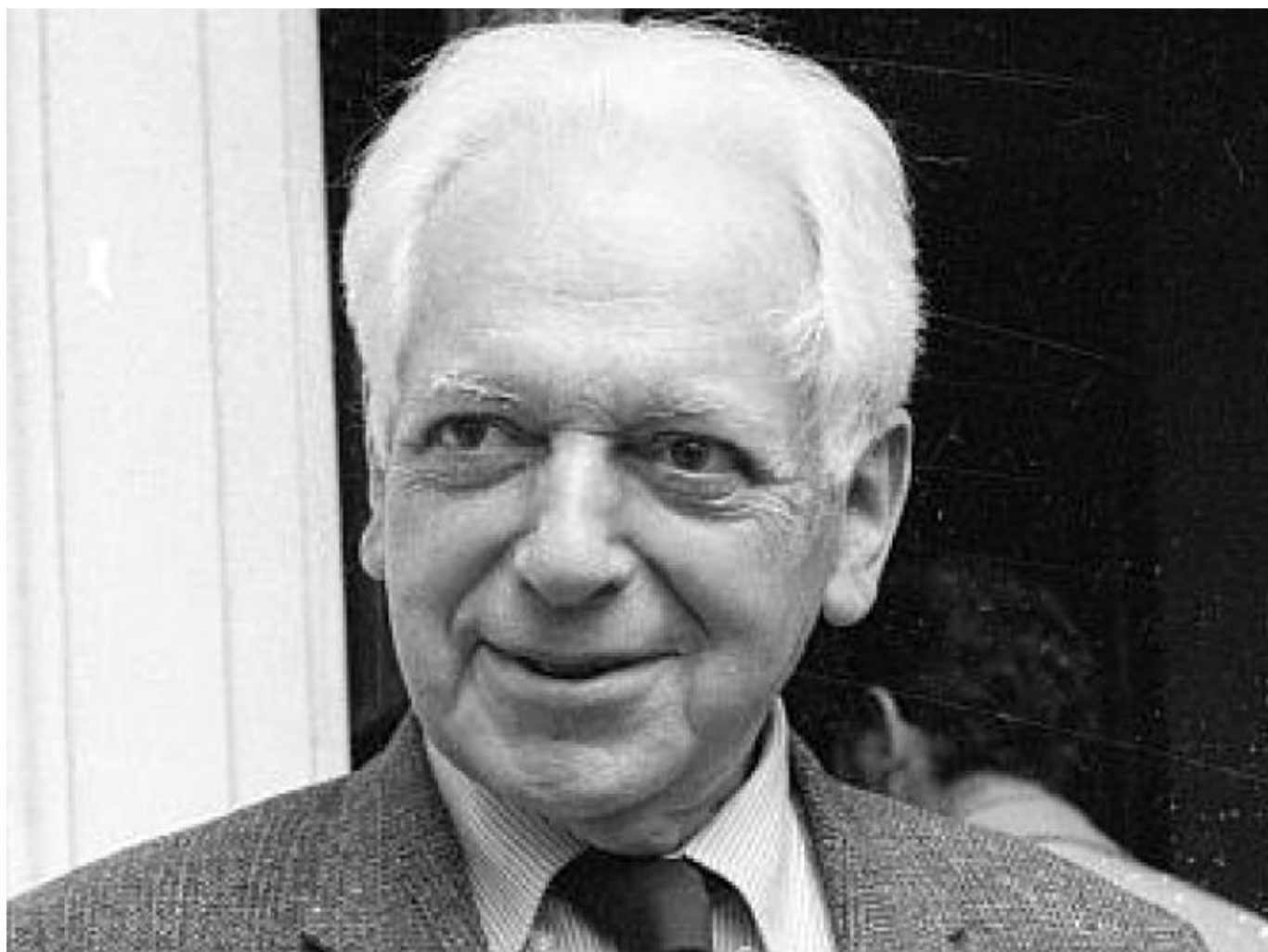
Przyjaźnie, które łączą poetów są i były związane z pewnymi postawami ogólniejszymi, Barańczak np. jest takim modelowym poetą o wspaniałej postawie moralnej. To nie są tylko sprawy poetyki. (...)

FS: Dorzućmy jeszcze nazwisko Jana Brzękowskiego z Awangardy Krakowskiej i Mariana Czuchnowskiego.

AM: Skoro mowa o okresach, o grupach poetyckich, wtedy pomija się nawet i znaczące nazwiska. Gdy mówiliśmy o pierwszej Awangardzie, zapomnieliśmy o Janie Brzękowskim, kiedy o drugiej, o Jerzym Zagórskim. Powojenne obecności poetyckie to również Waław Iwaniuk i rozproszona później po świecie grupa londyńskich poetów, do której i Pan należał. To Adam Czerniawski, Bogdan Czaykowski czy Jerzy Sito, od lat działający w Kraju. Wśród pokolenia Współczesności nie wspomnieliśmy o Erneście Bryllu. Nie wspomnieliśmy też o legendach poetyckich, a one są nośne. Były przecież meteory, które przeleciały przez niebo literatury. Mamy pisarzy, którzy stali się legendą. Wszyscy czterej skończyli tragiczną śmiercią. Mówię o Marku Hłasce, o Andrzejku Bursie, Rafale Wojaczku, o Edwardzie Stachurze. Trzeba o nich pamiętać. Mają ogromne oddziaływanie wśród młodych. I jeszcze o niesłychanym zjawisku odrębnym, autorze kilkunastu tomów poezji, męczenniku etymologii; który jak gdyby stworzył mówiony idiom poetycki, Mironie Białoszewskim. W innych wypadkach mówimy o kolokwializmach, w tym wypadku zachodzi tożsamość wyrazu poetyckiego i nowych warstw językowych. To był słuch językowy absolutny - i niebywała wrażliwość na szczegóły życia. I nie mamy do czynienia z czymś barbarzyńskim, Miron był zafascynowany poezją średniowieczną, Szekspirem i polską poezją romantyczną. Dał temu wyraz w swoim słynnym teatrze w kuchni. Później stał się ten teatr modny i teraz dopiero przedstawienia Mirona wystawiane są po raz wtóry, już w dużych teatrach, na dużej scenie. Miron Białoszewski był człowiekiem oddzielnym, stronił od życia publicznego. Był jednak solidarny ze środowiskiem. Kiedy dowiedział się np., że poeci nie biorą udziału w Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, bo usunięto z tego festiwalu źle widzianych autorów, przyłączał się do bojkotu i - jak to określał - ogłaszał strajk. Ten samotny wędrowiec po Warszawie był zawsze tożsamy z tym, co robił. Fascynacja poezją średniowieczną i Szekspirem łączyła się z urzeczeniem wywieranym przez wielkomięjski folklor. Tworzyło to niepowtarzalną jedność z życiem Mirona. Poza tym wielu poetów na świecie stara się o osiągnięcie ideału ubóstwa, tzw. poety

ubogiego. W Stanach Zjednoczonych i zamożnych społeczeństwach Zachodu zjawisko jest wyraźne, to staranie się o obecność poza establishmentem, nawet literackim. Ale mało komu to się udaje. Miron to osiągnął. Był to człowiek nie poddający się żadnym blichtrzem.

Julia Hartwig: Stosunkowo mało mówiliśmy o tradycjach poetyckich, na które powołują się nasi poeci, a poruszyliśmy właśnie przy Białoszewskim, który z pozoru jest taki kolokwialny i zdawałoby wyrasta z gleby języka jak samorodek. Przy nim mówiliśmy, i słusznie, o poezji średniowiecznej i romantycznej. Inni, jak Jastrun czy Przyboś, nie tylko w swojej twórczości, ale i w esejach poetyckich, ukazywali drogi, jakie łączyły ich z kręgiem oddziaływania Norwida i Mickiewicza. Podobnie bez zaplecza poezji barokowej nie do pomyslenia jest twórczość Grochowiaka, czy Jarosława Marka Rymkiewicza. Pozostaje tu cała ogromna strefa do omówienia.



Artur Międzyrzecki, fot. dzieje.pl

AM: Przypomniało mi się spotkanie w Paryżu, w połowie lat sześćdziesiątych. Zetknęły się tam po latach różne światy, kiedy na zaproszenie wydawców antologii przyjechali Wierzyński, Miłosz, Przyboś, Iwaszkiewicz, Ważyk - dołączył do nas Herbert, który akurat bawił w Paryżu. Konstanty Jeleński i Brzękowski pełnili honory domu. Może o kimś zapomniałem. Ale to było spotkanie niezwykle, bo było spotkaniem przedstawicieli poezji polskiej. Niektórzy z tych poetów po raz pierwszy się poznali. Pamiętam, że któregoś wieczora toczyli rozmowę Wierzyński z Przybosiem. Coś mnie tknęło i zapytałem: - Czy panowie się znali przed wojną?. - Ależ nie. Poznaliśmy się dopiero teraz. Te światy, bardzo różne, współobecne były w tym okresie.

W latach 1956-58 znajdowało to również wyraz w prasie literackiej. To były żywe pisma, które, niestety, szybko skończyły żywot. Zanim to nastąpiło, przeżywaliśmy okres integracji w życiu kulturalnym, żeby istniały np. fakty poetyckie, istnieć musi pewna integracja środowiska literackiego. Powiedział onegdaj J.J. Szczepański, prezes nowozałożonego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, że związki literatów nie są potrzebne literaturze, a szczególnie poezji. Natomiast poetom, tak. Ktoś musi ich drukować, muszą być jakieś hierarchie, jakieś osoby i instytucje, do których ma się zaufanie. Poza tym, w tradycji europejskiej, a w polskiej w szczególności, jest kawiarnia literacka, ognisko, gdzie ludzie się schodzą, mogą się zobaczyć. To wszystko znikło właściwie pod koniec lat sześćdziesiątych i ze stanem wojennym w 1981 r. Nastąpiło wówczas bardzo dotkliwe zniszczenie struktur życia literackiego, stowarzyszeń, czasopism, instytucji. Trudno to potem odbudować. Oczywiście, była taka przerwa w okresie stalinowskim, ale wtedy było to związane z ogólniejszym dramatem. Teraz było to zniszczenie struktur odbudowanych, tradycyjnych. Wobec tego powstał drugi obieg. I rozbudowało się czasopiśmiennictwo wynikłe z odporu społecznego. Obecnie stoi z kolei przed nami sprawa integracji ogólnej, przede wszystkim autentycznego zespolenia literatury powstającej w Kraju i za granicą. Przecież to jest jedna literatura. W 1968 roku, kiedy mówiłem o niepodzielnej kulturze, stałem się czarną owcą. Ale jak daleko jesteśmy dziś od tamtych czasów! Jednakże - powtarzam - trudno odbudować to, co zniszczono. Nadal nie mamy autentycznego czasopiśmiennictwa literackiego, a Stowarzyszenie, które powstało, a którego Pan jest członkiem, nie ma nawet pokoju, ani maszyny do pisania. Trzeba wszystko zaczynać od początku.

FS: Pani Julio, jak Pani się zapatruje na możliwości odbudowania tego zdeintegrowanego środowiska poetyckiego? Pamiętam jeszcze Pani wieczór poetycki, nieomal konspiracyjny, który odbył się przy kościele na Nowym Rynku w czasie trwania stanu wojennego.

JH: Teraz wydaje mi się to wydarzeniem bardzo odległym, niemal historycznym, jesteśmy już na innym etapie. Zintegrowanie nie będzie wcale rzeczą łatwą, mimo że ludzie garną się do tworzenia wspólnoty pisarskiej, która zajęłaby należne sobie miejsce w naszej społeczności. Bardzo tego potrzebują. Trudności organizacyjne są ogromne, nie mamy jak dotąd własnego kąta, gdzie moglibyśmy się zebrać. Ale myślę, że i to osiągniemy. Natomiast integracja wewnętrzna to już coś innego, to wykracza poza przeszkody techniczne. Nie może ona nastąpić tylko na zasadzie towarzyskiej czy przyjacielskiej. Wielki problem to - gdzie będziemy drukowali i jak będzie wyglądała prasa literacka. Mówiło się na spotkaniu pisarzy, że w Polsce czasopiśmiennictwo jest opanowane przez redaktorów i zespoły powołane do życia w szczególnym okresie i w szczególnym celu. Zadaniem tych zespołów było dokonanie pewnego rodzaju rewolucji kulturalnej, wyłonienie pewnej elity w miejsce starej, nieposłusznej, która reprezentowała ideały tradycyjnie przyświecające literaturze polskiej. W to miejsce próbowano stworzyć pseudowartości podporządkowane dezintegrującej polityce kulturalnej i o wyraźnie politycznym i antydemokratycznym charakterze. Usiłowano podważyć prawdziwe hierarchie pisarskie, atakowano pisarzy cieszących się uznaniem społecznym i drukujących często swoje utwory w prasie drugiego obiegu. W tygodnikach oficjalnych pojawiły się nazwiska często nie związane z literaturą, proveniencji czysto dziennikarskiej. Bez autentycznych czasopism literackich, bez wymiany opinii, życie literackie nie może być odbudowane. Mam nadzieję, że potrafimy to zrobić. Przychodzą tu na myśl inne jeszcze okoliczności: jest jak gdyby pewna lekkomyślność w traktowaniu literatury i kultury jako całości, jest skłonność do hołdowania zjawiskom najwybitniejszym, nie uwzględniając i nie wspomagając całokształtu zjawisk, na którym cały gmach kultury się opiera. Powtarza się trzy, cztery nazwiska, reszta pozostaje w cieniu. Dotyczy to różnych dziedzin sztuki, wyraźnie obserwuje się to również w poezji, która jest różnorodna i ma zasięg o wiele rozleglejszy niż tych kilka dzieł „firmowych”. Mam tu pewne żale do krytyków i historyków literatury, że nie starają się brać udziału w ustaleniu prawdziwej hierarchii literackiej, w bronienu

pisarzy zagrożonych, szkalowanych lub przemilczanych, bo choć literatura w końcu sama się obroni, trzeba na to czekać zbyt długo, krzywdząco długo. Krytycy wycofali się jak gdyby na pozycje akademickie, a ich bezpośredni udział w odbudowie życia umysłowego byłby bardzo ważny.

Druga sprawa to miejsce pisarza w tym, co się w Polsce aktualnie dzieje. Kiedy pisało się do drugiego obiegu, wydawało się, że wszystko, co się tam publikuje, powinno być niesłychanie ważne z punktu widzenia społecznego i moralnego, bo skoro ludzie narażają się drukując te teksty, powinny być one godne takiego ryzyka. Mogło to być czasem paraliżujące dla autora, czasem stymulujące, cała bowiem strefa twórczości - choćby wiersze liryczne - ulegała autorskiemu samoograniczeniu. Jesteśmy nadal w podobnej sytuacji, choć minął już okres drugiego obiegu. To jednak będzie się powoli zmieniało. Niestety, oficjalne pisma literackie mają, jak już wspomniałam, nadal tę samą obsadę, co w okresie stanu wojennego, i pisarze, którzy z nimi nie współpracowali, nadal wstrzymują się od przesyłania tam materiałów. Pozostaje „Tygodnik Powszechny”, ale jest to czasopismo o określonym profilu i problematyce, z niewielkim stosunkowo marginesem na tzw. literaturę piękną. Miejmy nadzieję, że nowopowstałe Stowarzyszenie Pisarzy Polskich potrafi sprostać zadaniom, jakie przed nim stoją, również w tej dziedzinie.

FS: Na sali zauważyłem wielu młodych ludzi...

AM: Owszem. Od nestora literatury po najmłodszych, z Kraju i z Zagranicy. Pan jest członkiem komitetu założycielskiego, członkiem założycielem jest również Czesław Miłosz i Gustaw Herling-Grudziński. I pisarze z Kraju od Andrzeja Kuśniewicza i Juliana Strykowski, aż do młodych poetów krakowskich, Bronisława Maja czy Jana Polkowskiego. Oczywiście, myślę, że i Adam Zagajewski i inni będą członkami tego Stowarzyszenia. Stanisław Barańczak został wybrany członkiem Zarządu przez Walny Zjazd Założycielski, i to też jest fakt znamieny. Od kilkudziesięciu lat z przerwami toczy się rodzaj wojny, którą administracja wydała inteligencji polskiej, zwłaszcza środowiskom twórczym, pisarzom. Przecież nie było takich przywódców, którzy by nie pomstowali na kawiarnię literacką. Dlatego, że tzw. kawiarnia pseudonimowała opinię publiczną. Istniała w Polsce tradycja kawiarni literackiej, tradycja na przykład Honoratki i innych kawiarni związanych z Powstaniem Listopadowym i Styczniowym. Dzisiaj wśród politologów używane jest

pojęcie tzw. dziennikarstwa mówionego. Tego żaden reżim totalitarny nie lubi. I wojna przeciw inteligencji twórczej ustawała w pewnych okresach, w 1956 czy po 1970, kiedy następowały zmiany ekip, ale ten sam Gierek, który wołał, żeby mu pomóc, kilka lat wcześniej też złożył tzw. kawiarni literackiej. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że wojna przeciw inteligencji twórczej osiągnęła swoje apogeum w czasie stanu wojennego, kiedy zlikwidowano wszystkie czasopisma i kiedy powstały inne. Nie waham się twierdzić, że niektóre z tych nowozałożonych czasopism prowadzone były przez pseudoliteracką kanalię, bo nie ma na to innego określenia. Ci ludzie zajmowali się przede wszystkim personalnymi atakami przeciw pisarzom. To było ich zadanie, wykonują je do dzisiaj. Więc oczywiście jeżeli potrwa tendencja reformatorska, to i to się skończy, ale proszę zwrócić uwagę, że oni nigdy dotąd tego stanu wojennego nie odwołali. Więc czasopisma literackie się nie zmieniły. Stowarzyszenie, któreśmy założyli, jeszcze nie jest zarejestrowane. Oczywiście na najwyższym szczeblu nie będzie przeszkód, ale dlatego o tym mówię, że wojna jest również wojną psychologiczną, polega na odbieraniu otuchy. My mówimy i trzeba tak mówić, że nic nie może złamać poety, pisarza, że milczeniem nie można go zabić. Ale jednak można. Można w każdym razie bardzo osłabić jego wenę. Mówimy, że się pisze do szuflady. Doświadczenie pokazało, że szuflady bywają puste. Muszą istnieć tzw. motywacje społeczne. Jest takie określenie angielskie *lack of motivation*". Jeżeli powstaje taka sytuacja, to może nastąpić milczenie, przejście do działań politycznych. Ja nie mówię, że ci autorzy nie będą działać. Będą bardzo pożytecznymi działaczami społecznymi. Ale dla literatury okażą się często straceni, dlatego, że po prostu nie wystarczy im siła, żeby ją kontynuować w milczeniu, niepewności czy rzeczywiście jest to konieczne, kiedy jest tyle naglących potrzeb społecznych. I to jest oczywiście bardzo złe.



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki na tarasie Domu Pracy Twórczej Literatów w Oborach, fot. Andrzej Szypowski, 12 X 1959 r. Zbiory Biblioteki Związku Literatów Polskich

Narody istnieją dzięki księdze i kulturze. Przetrawanie związane jest nie z państwem, lecz z kulturą narodową. Ktoś powiedział, że nie byłoby Polski, gdyby nie Mickiewicz, Sienkiewicz, Żeromski czy Wyspiański. To jest lapidarnie powiedziana część istotnej prawdy. Dzisiaj względy moralne są niesłychanie ważne i po to prowadzi się wojnę przeciw inteligencji, żeby zniszczyć autorytety moralne w społeczeństwie. Zniszczenie autorytetów moralnych czyni naród bezbronnym. Powiada się, że naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny. I na tym polega ta wojna. Przecież myśmy musieli walczyć o programy szkolne, gdzie umniejszono literaturę i umniejszono historię. Przecież cała historia Polski jest bardzo literacka, a literatura polska jest bardzo historyczna i polityczna. To jest ściśle związane. Myśmy się kiedyś zastanawiali nad tym - był wtedy Miłosz, był Zagórski i

Wazyk - na takiej debacie w Łomży o poezji: co ją znamionuje? I doszliśmy do wniosku, że znamionuje ją wyostrome poczucie historii. Poczucie toczącej się historii politycznej. To jest znamienne. Nie ma poety polskiego nietkniętego przez wydarzenia i to właśnie miał chyba na myśli Miłosz nazywając poetę polskiego barometrem. Ciekawe, że w stanie wojennym były ataki na poezję romantyczną ze strony administracji państwowej. Dzisiaj nie ma takich rozróżnień. Bo opozycja demokratyczna łączy w sobie tradycje organicznikowskie i tradycje romantyczne w sensie moralnym. Co do wojny z inteligencją twórczą: ta wojna musi być skończona żeby stworzyć normalne środowisko literackie, które by pozwoliło na normalne spory w obrębie literatury, na normalne debiuty, i żeby oddać sprawiedliwość temu, kto na to zasługuje. Jednym słowem: żeby ustalić hierarchię wartości.

FS: Rozmawiamy w Warszawie w przeddzień wyborów - o poezji...

AM: My jesteśmy obydwój, Julia i ja, członkami Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Część tego komitetu towarzyszy tzw. komisję kultury. Mówię o tym, bo pewne integracje personalne zostały dokonane, ale to nie zastępuje ogólnokrajowych instytucji literackich. Nam próbowano serwować, zamiast normalnego życia kulturalnego, rzeczy spektakularne i skandaliczne, np. na gruzach Związku Literatów miała być powołana administracyjnie Akademia. To tylko jeden przykład budowania fasad zamiast prawdziwego życia. I to musiało się skończyć, tak, jak się skończyło.

JH: Poruszyliśmy dużo problemów, dotknęliśmy szereg bolączek atakże wspomnieliśmy o niektórych naszych nadziejach.

Warszawa, wiosna 1989.

Florian Śmieja: „Siedem rozmów o poezji”, wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

Recenzja książki „Siedem rozmów o poezji” ukaże się na Culture Avenue w czwartek 27 lipca 2017 roku.

 **Julia Hartwig**, poetka, eseistka, tłumaczka poetów francuskich i amerykańskich,

urodziła się w Lublinie w 1921 roku, zmarła w 2017 roku w Pensylwanii. Podczas wojny była łączniczką A.K. i uczestniczką podziemnego życia kulturalnego. Studiowała filologię polską i francuską na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i w Paryżu. W 1954 roku poślubiła poetę i tłumacza, Artura Międzyrzeckiego. W latach 1970–1974, razem z mężem przebywała w Stanach Zjednoczonych, będąc uczestnikiem *International Writing Program*, a następnie wykładowcą Drake University. Prowadziła też wykłady na Uniwersytecie w Ottawie (1971) i Carleton University (1973) w Kanadzie. W 1979 roku ponownie przebywała w USA na zaproszenie Departamentu Stanu. W 1989 roku była członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Była członkiem Związku Literatów Polskich (1945–1983, w Zarządzie Głównym w latach 1980–1982), Polskiego PEN-Clubu (od 1956), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989, wiceprezes w latach 1990–1999). Od 2008 była przewodniczącą jury Nagrody Mediów Publicznych Cogito w dziedzinie literatury pięknej. W 1995 roku powstał o poetce film dokumentalny pt. *Julia Hartwig* w reżyserii Adama Kulika i według jego scenariusza, a w roku 2003 następny pt. *Ułamki codzienności. Julia Hartwig* (scenariusz i realizacja: Elżbieta Rottermund). W 2014 X Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybrał ją na honorowego Prezesa Stowarzyszenia, a w październiku 2014 roku otrzymała Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za książkę „Zapisane”. W 2015 roku Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przyznał jej tytuł *doctora honoris causa*.

Swoje wiersze i artykuły ogłaszała w pismach: „Odrodzenie”, „Nowa Kultura”, „Świat”, „Nowe Książki”, „Poezja”, „Tygodnik Powszechny”, „Twórczość”, „Kresy”, „NaGłos”, „Zeszyty Literackie”, „Odra”, „Więź”, „Kwartalnik Artystyczny”.

Jej główne książki poetyckie to „Wolne ręce” (1967), „Chwila postępu”, „Dwoistość” (1971) i „Obcowanie” (1987). Monografie: „Apollinaire” (1961) i „Gerard de Nerval” (1973). Autorka „Dziennika amerykańskiego” (1980).

Artur Międzyrzecki, polski poeta, tłumacz literatury francuskiej i anglosaskiej, autor słów piosenek, działacz społeczny i polityczny, urodził się w Warszawie w 1922 roku, zmarł w 1996 roku tamże. Po wybuchu II wojny znajdował się we Lwowie, skąd został w 1940 roku zesłany przez Sowieców do Kazachstanu. W 1942 roku wstąpił do Armii Polskiej. Następnie jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie odbył

cały szlak bojowy 2 Korpusu (Kampania włoska i Monte Cassino). Debiutował wówczas zbiorem poetyckim „Namiot z Kanady”. Studiował w Bolonii i w Paryżu (literatura, nauki polityczne). Po powrocie do Kraju zamieszkał w Warszawie (1950). W latach 1956–1958 współredaktor „Nowej Kultury”, w latach 1965–68 „Poezji”. Publikował na łamach tygodnika „Świat”. W latach 1970–1974, razem z żoną, Julia Harwig, przebywał w USA. W latach siedemdziesiątych uczestniczył w pracach Centrum Dialogu (*Editions du Dialogue*) Księży Pallotynów w Paryżu. W latach 80. wspierał Solidarność.

Wybory wierszy ukazywały się w latach 1971, 1979, 1980, 1989. Podstawowy dorobek przekładowy i eseistyczny w „Dialogach i sąsiedztwach” (1971) i tomie „Rimbaud, Appolinaire i inni” (1988). Członek jury Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej przyznawanej w Belgii (1958-). Wiceprezes Polskiego PEN Clubu (1978-) i prezes PEN-Clubu (1991-1996). Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Laureat m.in. Nagrody Literackiej PEN (1971), francuskiej Prix Annuel de Traduction (współ z Julią Hartwig, 1977), Fundacji im. Jurzykowskiego (1988) i „Literatury na świecie” (1989).

W 1992 r. wydał wraz z żoną Julią Hartwig antologię poezji amerykańskiej.

Ojciec był poetą katolickim

Barbara Gruszka-Zych

Rozmowa z Antonim Miłoszem - synem noblisty Czesława Miłosza o poszukiwaniu, Mszach łacińskich i szacunku.



Urodziny Czesława Miłosza, 30 czerwca 2017 r. w dworku w Krasnogrudzie. Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Toni Miłosz – syn Czesława Miłosza, Nikita Kuznetsov, Grzegorz Hajkowski, fot. Roman Koszowski.

Barbara Gruszka-Zych: Dwa lata temu na Festiwalu Miłosza w Krakowie ks. prof. Jerzy Szymik, który napisał pracę habilitacyjną o Pana ojcu, powiedział, że Czesław Miłosz jest największym poetą religijnym. Wiele osób zaprotestowało.

Antoni Miłosz: Mój ojciec był na pewno poetą katolickim. Gdyby nim nie był, nie napisałby listu do Jana Pawła II, w którym prosił o potwierdzenie, że jego twórczość jest zgodna z doktryną katolicką. To nieprzeciętny gest, nie pamiętam takiego drugiego wypadku w historii, żeby autor zwrócił się do papieża z prośbą o imprimatur. Wysyłając swój list, w pewnym sensie prosił ojca świętego o rozszerzenie wachlarza tego, co teologia katolicka obejmuje, do tematów poruszanych w jego twórczości. Papież uznał, że twórczość mojego ojca nie odstępował od zasad teologii katolickiej. Bardzo ostrożnie i mądrze odpisał, że liczy się intencja poety. To było pojednanie z Kościołem przeprowadzone

na bardzo wysokim poziomie.

BGZ: Czy ojciec z Panem o tym rozmawiał?

AM: Oczywiście... Ale rozmowa nie była nawet potrzebna. Rozumieliśmy się bez słów w tym temacie. Teologicznie ojciec stał na krawędzi myśli gnostycznej z elementami manicheizmu. Był bardzo skupiony nad pytaniem, skąd się bierze zło. Szukał wytłumaczenia w nauce Kościoła. Kiedy się rozmawia z ludźmi w Stanach, gdzie ojciec spędził długie lata, a ja mieszkam do dziś, ma się wrażenie, że zło jest wyłącznie brakiem dobra. Jednak ojciec uważał, że zło ma swoją siłę...

BGZ: To sprawa szatana...

AM: Oczywiście, uznawał, że szatan istnieje. Nie ma ogona, ale działa.

BGZ: Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód to inny Kościół niż w Polsce.

AM: Kiedy w Ameryce mówi się „Kościół”, to nie myśli się wyłącznie o Kościele katolickim. Katolicy są tam w mniejszości. Czasem chodziłem z ojcem do kościoła. Pamiętam taką Mszę w Stanach, w kościele przy Uniwersytecie w Berkeley, z której musieliśmy wyjść. Były święta Bożego Narodzenia, a ksiądz na kazaniu opowiedział dowcip, że Pan Jezus przyszedł na świat w postaci kobiety. To było takie przypodobywanie się na siłę temu, co modne, nowoczesne. My z ojcem nie mogliśmy tego zaakceptować. Dlatego też nie podobają mi się Msze z gitarami. Nie lubię, kiedy Kościół stawia się w pozycji proszącego wiernych, żeby do niego przychodzili, przyciągając ich różnymi atrakcjami. Zupełnie inną Mszę przeżyliśmy z ojcem w Bretanii, w miasteczku Pornic. Miałem wtedy chyba 10, 11 lat. Weszliśmy do malutkiego kościoła, gdzie Eucharystię po łacinie sprawował gruby, widać lubiany przez parafian, ksiądz. Pochylał się nad ogromnym mszałem, którego litery można było zobaczyć z ostatniego rzędu. To była Msza śpiewana. Wszyscy zgromadzeni w kościele modlili się z takim skupieniem, że stworzyliśmy razem prawdziwą wspólnotę. Duch Święty był wśród nas. Nawiasem mówiąc, szkoda, że łacina nie stała się językiem Unii Europejskiej. To język, który przez stulecia bardzo dobrze nam służył. Dla mnie Msza po łacinie istnieje na poziomie ponadnarodowym. Teraz Msze w językach narodowych mają w dużej mierze swoją specyfikę, może zbyt lokalną.



Czytanie „Traktatu teologicznego” Czesława Miłosza, z okazji urodzin noblisty, 30 czerwca 2017 roku w Krasnogrudzie. W środku Toni Miłosz, fot Barbara Gruszka-Zych.

BGZ: W dzieciństwie modlił się Pan po łacinie?

AM: „Pater noster” mówiłem w kościele. Nauczyłem się modlitw w różnych językach. „Ojcze nasz” mówiłem najpierw po polsku.

BGZ: Czy udział we Mszy św. był ważny dla Pana ojca? Wiem, że w Krakowie modlił się w kościele św. Idziego pod Wawelem.

AM: Tak, rzeczywiście. W Berkeley było kilka kościołów, do których ojciec chodził. Najczęściej na Mszę wybieraliśmy się do kościoła uniwersyteckiego.

BGZ: Jan Paweł II powiedział, że kiedy Pana ojciec robił w swojej wierze jeden krok do przodu, to zaraz potem cofał się o dwa kroki.

AM: Papież jako człowiek był podobny do ojca. Był czuły na drugiego. Rozumiał, że w sztuce jest konieczne nieustanne poszukiwanie.

BGZ: Czy Pana ojciec był samotny w Berkeley? Kiedy pisał „Ziemie Ulro” czuł otaczającą go pustynię duchową.

AM: Czuł się tam samotny na samym początku. Kiedy przyjechał do Stanów, był negatywnie nastawiony do Ameryki. Kilka lat zajęło mu odkrycie wartości tego społeczeństwa. Tak naprawdę przełamał się pod koniec lat 60., kiedy poznał bardzo zdolnych studentów i tamtejsze środowisko. Docenił amerykańskie społeczeństwo za jego nieustanne dążenie do demokracji, która jest mu wpajana historycznie jako podstawowa zasada istnienia. Kiedy w 1978 r. wydał „Ziemie Ulro”, wychodził z samotności. Wtedy coraz częściej odwiedzali go ludzie z Polski, a amerykańscy poeci przyjęli go bardzo serdecznie i uznali za jednego z nich. Mimo że jego wiersze czytali w tłumaczeniu, widać było, że jego twórczość bardzo do nich przemawia. Na jego spotkania autorskie, nawet przed Noblem, przychodziły tłumy.

BGZ: A więc mówienie, że on – samotnik chował swoje wiersze do dziupli starego drzewa, było przesadą?

AM: To tworzenie mitu.

BGZ: Jaki miał Pan stosunek do pisania ojca?

AM: Jako dziecko nie wiedziałem, że ojciec pisze. Po prostu zamykał się w gabinecie i pracował. Dla mnie ojciec był autorytetem, ale jego wiersze nie od razu do mnie przemawiały. Kiedy byłem mały, krępowało mnie, kiedy czytał je gościom przychodzącym do domu. Za to bardzo lubiłem, kiedy w domu czytał nam – swoim synom, utwory Mickiewicza. Chciał, żebyśmy poznawali piękną, polską literaturę i cieszyli się nią.

BGZ: Może czytał wam „Ballady i romanse”, tak jak mnie mój tata?

AM: Tak właśnie! Akurat to... I to mi zostało jako taki bardzo istotny grunt. To był język polski bardzo dobrej jakości. Ojciec czytał nam też powieści, które sam pochłaniał jako mały chłopiec. Na przykład Karola Maya. To autor w ogóle nieznan w Ameryce czy we Francji. Za to wszyscy Polacy wiedzą, kto to był Winnetou i Old Shatterhand.

BGZ: Jaki wiersz ojca Pan lubi?

AM: „Rzeki”, do którego ułożyłem muzykę i pod tym tytułem wydałem płytę. To głęboki tekst, dający mocny, metaforyczny obraz rzeczywistości jako rzeki.

BGZ: A jak to było z tłumaczeniem tekstów biblijnych przez Pana ojca? Wyjaśniał, że tylko w oryginale mógł je naprawdę zrozumieć.

AM: Tak mówił. W księgozbiornie ojca były też teksty po grecku i hebrajsku. Stanowiły zaplecze do jego badań historii duchowej ludzkości. To nic dziwnego, że wrócił do źródeł. Nie cenił szczególnie już istniejących starych tłumaczeń Biblii na język polski, uważając je za niewierne, ale też nie dostrzegał zbyt ciekawych przekładów nowoczesnych. Dlatego sam zabrał się za tłumaczenie niektórych tekstów.

BGZ: Czy to zmieniło jego podejście do wiary, obudziło religijność?

AM: To nie było tak, że kiedy zaczął tłumaczyć Biblię, nagle stał się bardziej religijny. On w gruncie rzeczy zawsze był poetą mistycznym.



Odnowiony dwór Czesława Miłosza w Krasnogrudzie, na Podlasiu, koło Sejna.

BGZ: Niektóre środowiska zarzucają Pana ojcu bycie bardziej Litwinem niż Polakiem.

AM: To smutne wytykanie, że nie był wyłącznie patriotą polskim. Trzeba wziąć pod uwagę, że urodził się jakby w Wielkim Księstwie Litewskim. Dlaczego więc miałby nie kochać też Litwy? Ale przecież był poetą polskim i pisał po polsku. Patriotyzm różni się od nacjonalizmu. Patriotyzm jest na „tak” wobec własnego narodu, a nacjonalizm na „nie” wobec innych. Żaden nacjonalizm nie jest zdrowy. Jak można współżyć z innymi nacjami, będąc nacjonalistą? To śmieszne zarzuty. Stawiają je ludzie, którzy zapominają, ile milionów ludzi zginęło w XX w. właśnie przez różne nacjonalizmy i nie potrafią się wyrzec tego sposobu myślenia. Ojciec uważał, że musimy współżyć z sąsiadami, stanąć trochę wyżej i pamiętać, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Jeśli nie odrzucimy drobnych, ale też i trudnych, dzielących narody spraw, to nie ma żadnej przyszłości dla ludzi na tej ziemi. Sprytni politycy, aby zdobyć władzę, manipulują, przekręcając zdrowy patriotyzm ludzi w paranoje, nacjonalizm i nienawiść. Myślę, że młode pokolenia, które bardziej troszczą się o przyszłość naszych losów na ziemi, powoli odchodzą od tego i nie dadzą się już tak łatwo wkręcić w nacjonalizmy i modne w niektórych środowiskach faszyzmy. Nacjonalistami zostaną wtedy jedynie niereformowalni, starzy ludzie.

BGZ: Co dla Pana ojca było w życiu najważniejsze?

AM: Zawsze powtarzał cytaty z Goethego, że najważniejszy jest „Szacunek, szacunek, szacunek”. Uważał to za zasadę – mieć szacunek do świata i ludzi. To jest podstawowa prawda naszej religii, dlatego warto to przemyśleć.

BGZ: To ciekawe. Bo wiele osób postrzegało pana Czesława jako człowieka, który czasem ostro, nieprzewidywalnie reagował na ludzi.

AM: Ale to nie znaczy, że nie miał do nich szacunku.

„Gość niedzielny”, 26/2017 r.,

<http://gosc.pl/>

W rytmie korzeni. Urszula Koziół.



Urszula Koziół, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

Korespondencja z Polski

Włodzimierz Wójcik

Kraję własnej młodości Urszula Koziół wspomina w swoich wierszach jako świat cudownie zielony, wielobarwny, po prostu - rustykalny. Możemy go sobie doskonale zrekonstruować poprzez lekturę jej wiersza *Pejzaż z pamięci* z tomu *W rytmie korzeni* (1963). Poetka pisze:

W przewlekłość nieba odlatują wrony

i piwne liście drzewa na odchodnym

są podwajane dotkliwie przez wody

W miedzianym pyłe gniade kłęby kobył.

W tej cudownej krainie mamy „czerstwym mlekiem napęczniałe skopki”, „Praczkę na kładkach drewnianych kłęzące”, garnki wiszące na kołkach, kobiety niosące „ołowiane tace słonecznika”, „napojone konie”, które wchodzą w otwarte wrota stajni. Wyposażona w takie krajobrazy, które zapadły jej w serce i doznania, jakie one wywoływały, w wiedzę zdobytą w Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Konopnickiej w Zamościu, obeznaną z obyczajowością swojej „najbliższej ojczyzny”, czująca świeżość Sanu, Tanwi i zapach Roztocza, szła w świat z niebagatelnym bogactwem, które nieco później eksploatowała w swej sztuce pisarskiej.

Z cudownej krainy wczesnej młodości trafiła do wspaniałego ośrodka uniwersyteckiego z wielością kulturotwórczych instytucji. Podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwszy stopień uzyskała w 1953 roku; pełne studia magisterskie finalizowała w roku 1969. W latach 1954-1972 pracowała jako nauczycielka najpierw w Bystrzyce Kłodzkiej, potem we Wrocławiu. Była redaktorem wielu pism literackich, aktywnym animatorem kultury. Jej zasługi zostały jednoznacznie określone. Otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jest powieściopisarką, dramaturgiem, eseistką. Przede wszystkim poetką. W klimacie popaździernikowej odnowy życia polskiego rozwinęła twórczość poetycką. Początkowo swe wiersze zamieszczała w prasie. W krótkim czasie znalazła się w czołówce polskich poetów współczesnych. Między rokiem 1957 a 2005, czyli w ciągu 48 lat wydała drukiem szesnaście tomów wierszy: *Gumowe klocki*, *W rytmie korzeni*, *Smuga i promień*, *Lista obecności*, *Poezje wybrane*, *W rytmie słońca*, *Wybór wierszy* (1976), *Poezje wybrane II*, *Wybór wierszy* (1986), *Żalnik*, *Dziesięć lat przed końcem wieku*, *Postoje słowa*, *Wielka pauza*, *Wiersze niektóre*, *Stany nieoczywistości*, *Supliki* (problematyka przemijania i osławiania śmierci).

Wynika z tego, że nie ma tutaj mowy masowej produkcji poetyckiej. Poetka jest niespieszna, rozważna i wydaje zbiorek wierszy średnio co trzy lata.

Pochodząca z Ziemi Biłgorajskiej, znad Tanwi Urszula Koziół jest od dziesięcioleci

wielką osobowością w wielkomięjskim środowisku dolnośląskim. Swoją wielostronną aktywnością zakorzeniła się w niezwykłym polskim mieście, we Wrocławiu. Ale dlatego nie przestaje twórczo owocować, gdyż nieprzerwanie żyje i tworzy - jak dawniej, za lat młodych - „w rytmie korzeni”. Urszulę Koziół czyta się dzisiaj bezustannie, tak, jak Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, czy na przykład Stanisława Barańczaka.

W jej poezji widać doskonałe osadzenie się na konkrety i jednoczesną zadumę nad sensem życia i głęboką refleksję filozoficzną. Jawi się przeświadczenie, że to, co w życiu odchodzi i przemija, bo umierać musi, w poezji może ożyć i powrócić. Ważne miejsce w tej poezji zajmuje temat bezustannej wędrówki. Człowiek żyje pod ciśnieniem przemienności losu, przeżywa wielorakie nastroje. Poszukuje najlepszego miejsca w życiu, aby po osiągnięciu celów czuć niezadowolenie, nawet dotkliwie rozczarowanie. Poszczególne istnienie ma charakter ulotny. Natomiast byt okazuje się trwały, nieustający. Wiele miejsca poświęca refleksji na temat procesu i tajników tworzenia. Stąd też autotematyzm tej poezji. Warsztat Urszuli Koziół cechuje wielka pomysłowość w wyzyskiwaniu wielu rozwiązań wersologicznych. Poetka jest mistrzynią miniatury poetyckiej o krystalicznej czystości językowej. Dość przywołać z tomu *Wybór wierszy* (1976) wiersz pod tytułem *Piosenka*:

Już głos piewika

cieniem błękitnym

tańczy w upale

i wartki karmin

dzikiej firletki

śmiga przez trawy

a ja w podróży

a ja bez pary

dzisiaj niczyja

w listku na wodzie

w płytkim obłoku

sobie przemijam

- aby przekonać się o walorach leksykalnych, stylistycznych tej mądrej i bardzo ciepłej poezji, w której dyskretnie manifestuje się wsłuchiwanie się w głos natury połączone z egzystencjalną zadumą. Nieco podobne walory widać w jednym z nowszych wierszy poetki (*Wielka pauza* - 1996) noszącym tytuł *Przechadzka*:

Mówię do ciebie: spójrz -

czy ten kamień, albo skrzydło

owada

nie układa się w taki deseń

jakby głównym celem natury

miał być ornament?

Zmierza ku temu ryba

gwiazda na firmamencie

i kolec

choćby na tej giętkiej gałązce

jeżyny.

A ty zaprzątnięty własnymi

myślami

mruczysz „to tylko fasada”

i słowo „fasada” w odniesieniu

do tego

o czym ja myślę

przejmuje mnie nagłym

chłodem

Wiersze Urszuli Koziół czyta się z potrzeby serca z wielkim pożytkiem. Sięgają po nie poloniści, młoda inteligencja, intelektualiści, ale także przeciętni czytelnicy bez większego wykształcenia. W tych wierszach znajdują żywą, soczystą polszczyznę, bliskie sercu myśli, człowieczą mądrość, nieśmiertelne pejzaże dzieciństwa, wieczorną muzykę idącą znad rzek i jezior. Tych z Zamojszczyzny i tych z Ziemi Dolnośląskiej...

prof. Włodzimierz Wójcik zmarł w 2012 r.

Poeta pamięta. Stanisław Januszko (1914-2002).

Florian Śmieja

Wiersze Stanisława Januszki przez kilkadziesiąt lat ukazywały się na łamach polonijnej prasy w Toronto oraz w osobnych zbiorach fundowanych przez jego licznych, lojalnych przyjaciół. Poetą był z zamiłowania. Pisał z serca płynące niewyszukane rymy:

Jestem synem ludu, fabrycznym robotnikiem i moim braciom robotnikom pisałem i piszę proste, zrozumiałe wiersze. Unikam i nie używam słów trudnych,

niecodziennych, kwiecistej retoryki i wieloznaczności metafor. Poszedłem i dążę w przeciwnym kierunku – jak najbliżej treściwej prostoty i sielankowej śpiewności.

Żyjemy w czasach alienacji poety czy artysty, kiedy to czytelnik, widz albo słuchacz nie nadaża za szukającym za wszelką cenę oryginalności czy sensacji, twórcą. Ten ostatni przestał zresztą liczyć na odbiorcę, martwić się, czy pisze lub tworzy wyłącznie ze snobizmu dla podobnego do siebie konsumenta czy elitarnego krytyka, w kompletnej społecznej próżni. Z drugiej strony, odbiorca przestał popierać niezrozumiałe dla niego teksty czy cenić bohomyzy nie słuchając zakłęb domniemanych znawców hołdujących kreowanej modzie i wymyślających happeningi lekceważące a często niepokojące doświadczenia i odczucia ludzi. Trywialność tematu tuszowana ekstrawagancją i pretensjonalnością



form coraz częściej maskuje brak talentu ambitnych szarlatanów. Zabrakło naszej epoce odważnego dziecka, które by całej tej zabawie krzyknęło, że “król jest nagi”.

Pozostały więc połączone życie opuszczone przez współczesnego artystę goniącego za mirażem i rezygnującego z kontaktu z odbiorcą. Są one chętnie zawłaszczane przez popularną, młodzieżową muzykę. Pozostają również na placu duchy mniej obrazoburcze, nie uważające nowości za najważniejszy atrybut dzieła, nie gardzące tradycyjną budową wiersza i nie udziwniające języka, preferujące klarowność nad zawirowania i mętniactwo, nad modne niezrozumiałstwo. Nie lękał się Januszko, że go brali za poetę naiwnego lub gorzej jeszcze nazywali różni konstruktorzy rebusów, których żaden czytelnik nie brał do rąk, a jeżeli wziął, to nie pochwalił, że

dostarczyły mu estetycznego przeżycia.

W wydany w 1973 roku debiutowym tomiku "Wszystko przemija", Januszko prosząc o życzliwe, bratnie przyjęcie wyznał:

W długim mozolnym ćwierćwieczu w chwilach wolnych od pracy zarobkowej w fabryce, napisałem mnóstwo wierszy.

W tych jego lirykach, satyrach, aforyzmach i wierszach okolicznościowych, pobrzmiwa nuta patriotyczna, męska, bez szowinizmu czy megalomanii. Jest to uczucie szczere, synowskie, szanujące prawa innych lecz karcące bez ogródek tych, co "Na Polskę ciągle złośliwie warczą". Chcę wierzyć, że Januszko w czasie długiej choroby nie czytał tekstów różnych dziwaków pomstujących np. na poetów, którzy wracają do Polski, bo powrotem swym "zdradzają Amerykę"!

On, żołnierz Września i AK nie wstydził się przyznać do tęsknoty:

*I cóż ja zrobię, że pod obcym niebem
na ziemi szczodrze darzącej mnie chlebem
śnię mi się często nasze polskie niwy.*

A przecież jego życie w Kanadzie od 1948 roku nie było wcale łatwe. Był imigrantem skromnym, wdzięcznym, człowiekiem może już starej daty. Nie uważał, by mu się od innych należało. Nie identyfikował się również z bracią zjednoczoną nad kuflem. Przyglądał się bez entuzjazmu ziomkom, których tak widział:

*Więc tańczą i piją rodacy ochoczo
Nietrzeźwi, bezmyślni przez życie się toczą.*

Był obserwatorem a i wizjonerem czasów, które miały nadejść u schyłku jego życia. Doświadczył jeszcze lektury i najświeższych ekscesów żywienia przybyłego do Kanady pod koniec wieku, ludzi lubujących się w używaniu rynsztokowego języka, z lichymi manierami dziennikarskimi, szalbierzy z dobrej szkoły, skoro nie wyleczyli

się przez przyjazd na ten kontynent, pokazujących, że przeszłość naznaczyła ich na zawsze. Zajmą się ich językiem z pewnością zawodowi poloniści i udokumentują ten smutny okres polonijnego dziennikarstwa w Toronto ukazując spustoszenia w psychice ludzi, którzy myśleli, że się salwowali z dziedzictwa PRL-u chroniąc się w Kanadzie i tworząc balowo-kabaretową emigrację..

Januszko pisał wiersze gładkie, niewyszukane, zgrzebne ale nieskalane, posługiwał się czystą polszczyzną, wnosił niepożytą nutę nadziei. Miał, mówiąc językiem Herberta, smak, gardził smaczkiem. Sądzę, że to do jego mało nowatorskich, staroświeckich tekstów, a nie do brukowych dzienników zaglądał będzie kiedyś socjolog i historyk, by znaleźć wiarygodne świadectwo i komentarze do stanu naszej sytuacji psychicznej i społecznej, bo był z tych nielicznych, którzy mogli o sobie powiedzieć:

Nie wchodzę w żadną stęchlą kałużę

I wszystkim śmiało spogladam w oczy.

Jego słowa będą probierzem, korekturą nieskromnych hagiografii i kupnych panegiryków różnej maści uzurpatorów i hochsztaplerów, którzy są zaprzeczeniem jego etosu służby i bezinteresowności.

Ewa Kołacz. Fazy światła.



Ewa Kołacz, malarka i poetka z Kanady

John K. Grande

Adeptka sztuki lalkarskiej i poetka Ewa Kołacz (Eva Kolacz) maluje od 1981 roku. Sztukę wizualną artystki wyróżnia ciągłość emocjonalna malarskiego gestu, który bezpośrednio przekłada uczucia na język światła i barw. Jej malarstwo składa się z elementów, które się oddalają, by się zatrzymać i w rezonansie tworzyć przestrzeń podtrzymującą ciągłość ludzkich emocji. (...)

Każdy obraz Ewy Kołacz powstaje na przestrzeni czasu i choć zdaje się on istnieć w konkretnym miejscu, jest to jedynie świat malarski, gdzie każdy scenariusz inspirowany jest emocjami, malowany kolorem i tworzony przez światło. Jej malarstwo wyróżnia bezpośredniość interpretacji. Emocje stają się pejzażem, a wewnątrz ulega ciągłej transformacji. Obrazy te są odzwierciedleniem na potrzeby serca, a powierzchnia obrazu jest określeniem tożsamości zawierającej w sobie miejsca, atmosferę, zmiany i nieskończoność. To wszystko z godnym podziwu wyczuciem

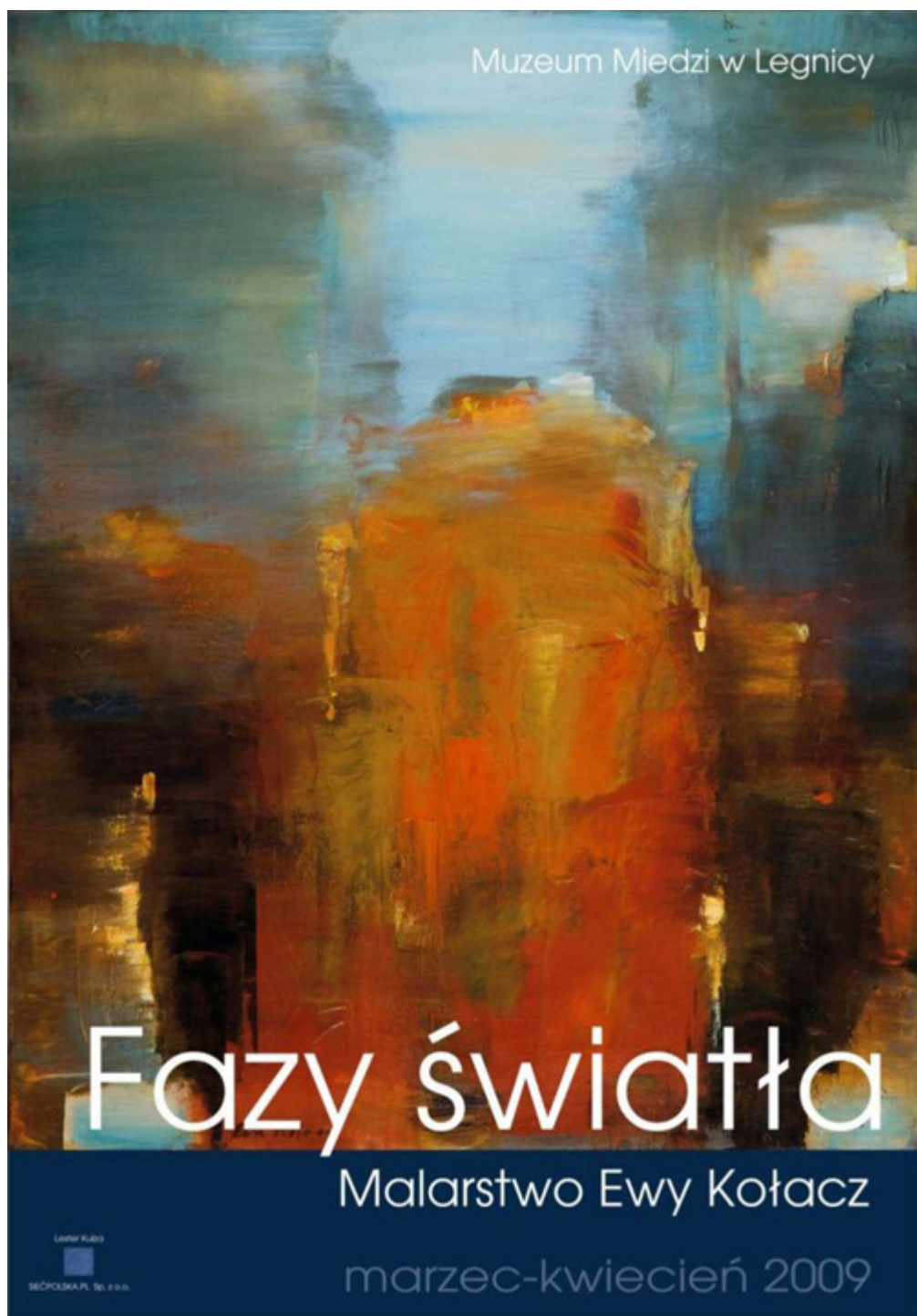
koloru. Nie jest łatwo stworzyć dramatyczne i jednocześnie skromne obrazy, aby mogły wyrazić wrażliwość natury ludzkiej. Obrazy istnieją na powierzchni, która staje się głębią światła, kształtującą formę. Są przypowieściami o ludzkim doświadczeniu. (...)

Rzut optyczny w obrazach może być wertykalny lub horyzontalny, podkreślany intensywnym rozproszeniem i odbiciem, a niekiedy gęstością atmosfery. Każdy z obrazów posiada serię fraz wizualnych, gdzie gest nakłada się na kolejne warstwy obrazu. (...)

Obdarzona wrodzonym zmysłem abstrakcyjnego procesu twórczego, porównywalnym do angielskiego malarza Ivona Hitchens'a, Ewa Kołacz kieruje nas drogami, prowadzonymi przez pędzel. Ten podświadomy proces malowania jest podobny do filmu, ani nie jest nierozwinięty, ani mechaniczny. W przeciwieństwie do malarza techniki automatycznej, Ewa Kołacz podąża za przemyślaną wizualną formą faktur, niczym myśliciel rozkoszujący się malarskością chwili. Teatralność momentu powołuje do życia rzeczywistość wynikłą z procesu twórczego. Jest to podświadomy proces, który kwestionuje własne doświadczenia i metodę pracy. W ten sposób Ewa Kołacz rozwija swój język malarski, wychodząc poza dogmaty modernistyczne, które charakteryzują się stylistyczną zuchwałością, ograniczając swobodę artysty, podążając za maksymami, dyktatami i paradygmatami epoki. Ewa Kołacz ma wycucie momentu i jego aparycji. Odnajduje formę w procesie malowania. Te formy wyrażają kruchość i ciągłość zmian, w którym bierzemy udział przez chwile. Obcowanie z jej obrazami równa się zagłębieniu w spokojną przestrzeń pełnej syntetyzującej i wibrującej głębi, pól atmosferycznych skąpanych w świetle, (...)

Ewa Kołacz prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (...) Malarstwo Ewy Kołacz powstało z wielkiej pasji. Jak sama artystka mówi: „Kiedy masz pasję, nie zastanawiasz się, w jaki sposób inni odbierają twoje malarstwo”.

Ewa Kołacz



Wciąż są we mnie

brzegi

cichego lata

i złote drgania

wody

owinięte wokół stóp

wszystko

zapisane

momenty

płyną

spokojną strugą

między jednym dniem

a drugim

nocą a nocą

nie dotykać się

w obawie

że sen ten się skończy



Ewa Kołacz

Wciąż są

we mnie sny

o niebieskich powiekach

i źdźbła trawy

w nich

które rodzą chwile

to tu

zanurzam się cała

bo w śnie

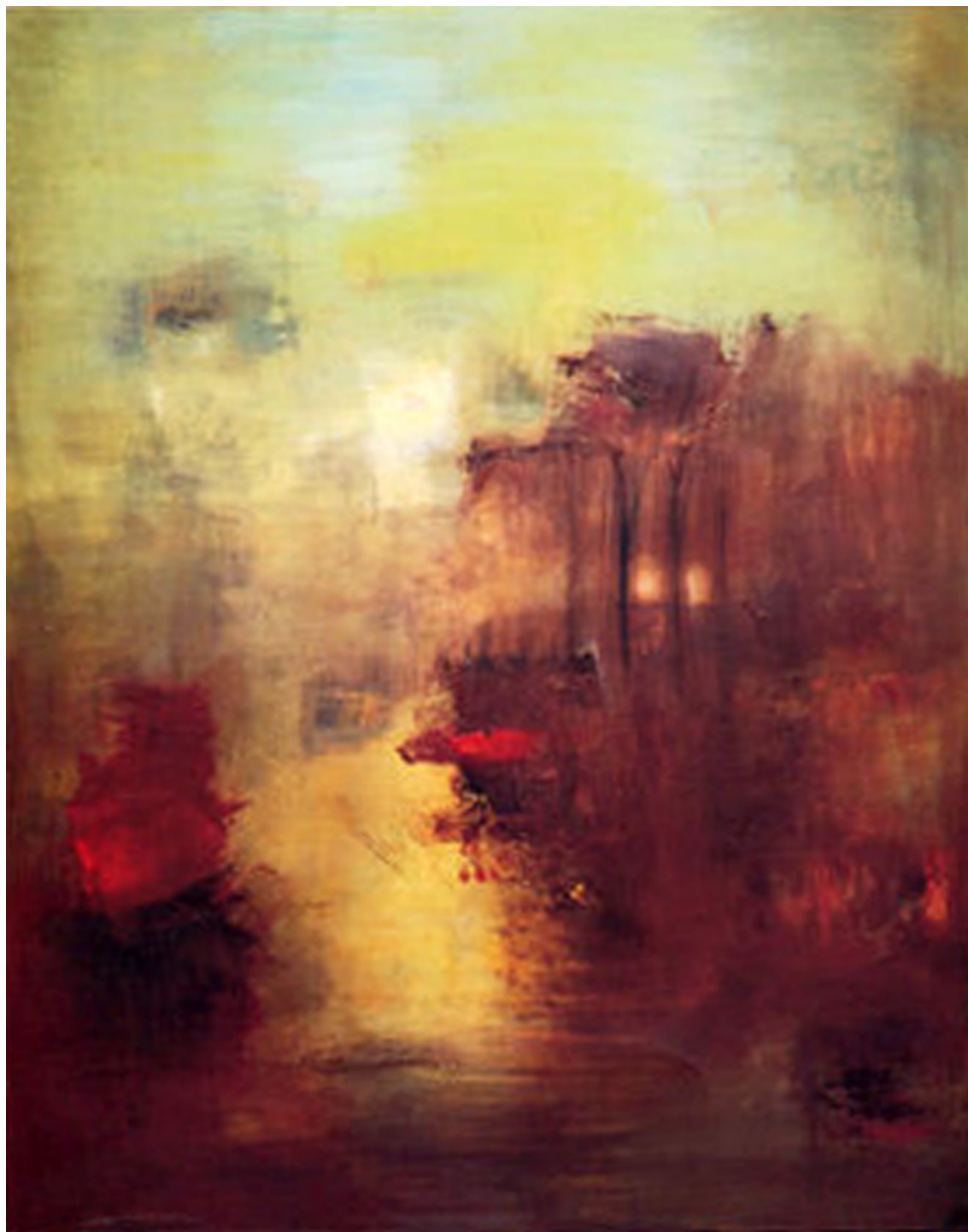
prócz lęków

nie ma

prawdziwego bólu

Prace Ewy Kołacz z albumu „Fazy światła”













Klarncista z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja



Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym odczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze

czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielną” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznaną, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić.

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty - z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasińczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

...na pewno pamiętasz jakśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” - a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów - FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę - hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakikolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chętnie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – as far as I know. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramaturga J.M. Synge’a, tłumaczył Tomasza Moore’a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach”, dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku” napisał:

Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku”, że obojętnie płyną swoimi rzeczulkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite” a nie „explicite”, ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

Moim zdaniem - napisał kiedyś w liście - w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza - ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy” jest tak oklepiane, że się od niego rzygać chce - ale przecie „Połały się łzy me...” - to właśnie poezja.



Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdaleny” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”, „Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalał swe życie, bo grał na klarncie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

*A niebo było błękitne
jak cyklon w komorze gazowej.*

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę nieludzką zbrodniczej przemysłowości zdeprawowanego człowieka:

*Ciężka na świecie zima
polska.
Na grudzie zeschnięte
zielska.
Tylko w komorze gazowej
ciepło.
Tylko w sercu człowieka
piekło.*

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonych i rozproszonych. I nie napisanych. Poeta, niewątpliwie obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim

spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie część posiadamy.

Pamiętka po księdzu Janie



Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r., fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego

księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.

Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty: "polna myszka siedzi sobie, konfesjonał zębkiem skrobie", "kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie", "siostra Konsolata, bo kasa i lata", "rysowałem diabła bez rogów, bo samiczka" - i uspokoilem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokąźny "Niecodziennik" stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy poczytnego poety, który posiadał rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

POCIECHA

*To bardzo pocieszające
że mimo promocji bełkotu
układów i mistyfikacji
wbrew kumoterskiej krytyce
górują nadal czyste głosy
Herberta, Miłosza i Twardowskiego
że ze złomowiska instalacji
spod ezoterii i kuglarstwa
snobizmu i patologii
wydobywamy wciąż jeszcze
pożywny chleb poezji.*

KSIĄDZ JAN

*Dla M.P.
Już pochylony co niedzielę
wygłasza u sióstr wizytek
poetyckie homilie
dla niewiniątek w każdym wieku.
Bezkonkurencyjnie
wpisał się do księgi Guinnessa*

*za najkrótsze kazania
a jeszcze pewniej
w serca swoich słuchaczy
bezradnie wyciągających szyje
by niczego nie uronić
z jego mądrych szeptów
lecz rozumiejących bezwiednie
że dobroć słów nie potrzebuje.*